

PISANE NAM BYŁO ŻYCIE

Przed wybuchem II wojny światowej mieszkalam z rodzicami i rodzeństwem w osadzie wojskowej Władysin pow. Grodno, w woj. białostockim.

17 września 1939 roku na Kresy Wschodnie wkroczyły wojska rosyjskie. W ślad za rusyfikacją tamtych terenów poszły masowe deportacje Polaków w głąb ZSRR.

Pozbywano się z zagarniętych terenów głównie tych, których uważano za element antysowiecki. Na liście wrogów ustroju znaleźli się między innymi osadnicy wojskowi, w większości uczestnicy wojny 1920 roku.

Decyzją władz centralnych NKWD ZSRR 10 lutego 1940 roku przeprowadzono pierwszą najtragiczniejszą w skutkach i najbardziej bezwzględną deportację. Według dzisiejszych badań historycznych strony polskiej wywieziono wówczas ok. 250.000 osób. Według strony rosyjskiej 143.000. Transportowano wówczas przy 30-stopniowym mrozie, w bydłących zaryglowanych wagonach całe rodziny – starzych, chorych, dzieci (często kilkumiesięczne). Taki los spotkał i nas.

Rodzina moja liczyła wtedy pięć osób (rodzice, brat Ryszard – 10 lat, Teresa – 7 lat i najmłodszy sześć miesięcy). Wraz z innymi trafiliśmy do Altajskiego Kraju Krajnyszynkiego Rajonu, Uczastok 25 – bezkresne, bezludne, mroźne pustkowie tajgi. Ponad 100 rodzin wpakowano do dwóch drewnianych, zapluskwionych baraków. Każdej rodzinie przydzielono 2,5 m² pryczy w ogólnej sali. Obok baraków piekarnia przydziałowego chleba i mały mурowany budynek dla strażników. Wokół wysokie sosny, pełno dzikiego zwierza, zwłaszcza watahy wilków.

Wszyscy dorośli zaraz nazajutrz musieli stawić się do wyrębu lasu. Mężczyzn początkowo ustawionych parami prowadzili strażnicy pod karabinami, potem szli sami, a obecność sprawdzano na miejscu. Kobiety

pracowały w tartaku odległym może z 6 km. W tej grupie była moja mama. W barakach pozostawali starzy, chorzy i dzieci. Nie było tu ani szkoły, ani przedszkola.

Osoby pracujące otrzymywały 600 gram kwaśnego gliniastego chleba, pozostali 200 i nic więcej. Skończyły się szybko zapasy żywności zabranej z domu. Trzeba było chodzić 20 km do najbliższej kolchozowej wsi, wymienić lepsze rzeczy na ziemniaki, ale wkrótce i to się skończyło. Zaczął doskwierać głód. Mama zrobiła się blada i chuda, tatusiowi puchły nogi.

W 1941 roku po układach Sikorski-Majski otrzymaliśmy amnestię i prawo poruszania się po terytorium Rosji. Wyprowadziliśmy się wówczas do posesji Krajuzski los nasz jednak niewiele się poprawił. Kolchozowe deputaty albo były w znikomej ilości, albo nie było ich wcale. Tatuś nie był w stanie wypracować trudnina - normy. Przed wywózką był aresztowany, wykańczano go już wtedy głodem i dochodzeniami. Ciężka praca w lesie dopełniła reszty. Mama więcej dbała o swoje dzieci i rodzinę niż o siebie. Wkrótce zmarła z wycieńczenia.

Pochowano ją w trumnie z nie oheblowanych desek. Miejscem pochówku był pagórek w lesie koło opisanych już baraków. Było tam już około 50 grobów samych Polaków.

Cmentarz nie był ogrodzony, nie było księdza. W tamtym pustkowiu nie było nawet popa. Był rok 1942. Nastął dla nas czas tragiczny. Utraciliśmy wraz z mamą tą część żywności, którą zarabiała szyciem.

Przeprowadziliśmy się do innej miejscowości (nazwy nie pamiętam) gdzie tatuś i starszy brat Ryszard pracowali w lesie przy żywicowaniu. Ja z młodszym bratem siedziałam w domu. Tatuś przynosił ze stołówki dwie porcje rzadziutkiej pracowniczey zupy i przydziałowy chleb. Gotowaliśmy zielsko - pokrzywę i lebiędę, zagęsz-

czaliśmy lurę, bo musiało starczyć dla wszystkich.

W 1943 roku ojca powołano do I Dywizji im. T. Kościuszki. Pojechał na wezwanie, nasza trójka została sama. Ryszard 12 lat, ja 10, najmłodszy 3 latka. Starszy brat nadal pracował w lesie, ale wyżyć się z jednej marnej porcji zupy i przydziału - teraz już zmniejszonej - porcji chleba było niemożliwością. Czasem i tej racji w stółce po prostu dla nas nie starczyło. Ratowaliśmy się jak mogliśmy. Tuż po zimie zbieraliśmy na działkach miejscowej ludności zmarznięte, pojedyncze ziemniaki. Po silnych mrozach nie zgniły, kiedy słońko przygrzało, wyschły i rozsypywały się w krochmal. Zbieraliśmy to, zagniatali z zaparzoną zielskiem i piekli placki na pycie. Jeżeli zdobyliśmy przydział chleba, zostawialiśmy dla Genka.

Przestrzenie na Syberii są przeogromne. Tatuś nie wracał, a my opadaliśmy z sił. Ogarniała nas apatia i beznadzieja. Byliśmy już u kresu wytrzymałości kiedy tatuś wrócił. Ja zdążyłam rozchorować się na jakąś chyba tylko syberyjską chorobę. Byłam obsypana na całym ciele bąbelkami wypełnionymi mazistą mętną cieczą. Przypominało to szczepioną ospę. Włosy na głowie skleiły się od popękanych pęcherzy, nie można było ich rozczesać. Na skórze tworzyły się strupy, przyklejało się do tego i odrywało ubranie. Byłam cała obolała.

Tatuś zlikwidował nasze pozostałości i ruszyliśmy w drogę. Przy barakach, miejscu naszego pierwotnego pobytu, wstąpiliśmy jeszcze na cmentarz, by pożegnać grób mamy.

Od wczesnego ranka, do późnych godzin popołudniowych jechaliśmy pociągiem w kierunku południowym. Wieczorem dotarliśmy do Zudziłowa gdzie w dietdomie mieliśmy już załatwiony pobyt i opiekę. Dom dziecka w przeważającej części był rosyjski, tak pod względem wychowanków jak i personelu. Braci przyjęto, a mnie nie. Tatuś miał przepustkę na określony czas, pokazywał papiery kierow-

nikowi. Ten upierał się, powiedział że i tak tatuś będzie jechał przez Barnauł więc żeby zabrał mnie do szpitala.

Dotarliśmy tam już późno nocą. Nie wiem, czy nie było odpowiedniego lekarza, czy nie ten szpital, tu nie przyjęto mnie również. Tatuś rozmawiał z pielęgniarką, pokazywał papiery, nic nie pomogło. W końcu uprosił ją, zostawił jakieś pieniądze, by pozwoliła mi przemocować i zajęła się mną następnego dnia. Tu tatuś pożegnał się ze mną i już go więcej w swoim życiu nie zobaczyłam. Noc przespałam w poczekalni na twardej ławce. Rano pielęgniarka, z którą rozmawiał tatuś, przedstawiła mnie lekarzowi a ten polecił jej odprowadzić mnie do innego szpitala. Kawał drogi w innej części miasta, na innej ulicy. Tam nie przyjęto mnie również. Lekarz obejrzał, wypisał receptę i powiedział do widzenia. Z głębokiej pustej tajgi trafiłam wycieńczona i chora na ulice wielkiego miasta. Pielęgniarki, która mnie przyprowadziła, już nie było. Miałam 11 lat, nie umiałam mówić po rosyjsku. Chciałam wrócić do diet-doma do braci w Zudziłowie, ale gdzie dworzec, jak zapytać o drogę, który pociąg? Błąkałam się po ulicach, aż trafiłam do gromadki bezprzynornych - dzieci niczych tak jak ja. Przez jakiś czas wegetowałam z nimi, ale siły opuszczały mnie na dobre. Momentami traciłam świadomość. Któregoś dnia, późnym wieczorem ktoś wysadził mnie na stacji w Zudziłowie. Było zupełnie ciemno i pusto. Prócz małego budynekczku i szopy nie było tam nic więcej. Nie mogłam znaleźć drogi do posesji i chyba tylko strach przywrócił mi przebliski świadomości. Usiadłam na torach i chciałam żeby przejechał mnie pociąg. W oddali widać było światełka w ciemności gdzie odjechała lokomotywa z kilkoma wagonikami. Na torach znalazł mnie dróżnik. Szedł z latarką i młotkiem na długim trzonku, co jakiś czas uderzał w szyny. Rano obudziłam się w drewnianej szopie, na kupie wiórów od heblowania. Drzwi z zewnątrz zamknięte były na skobel i zaszczipkę. Jakoś wydo-

stałam się na wolność. Teraz już wiedziałam gdzie jestem. Byłam tu przecież z ojcem i braćmi. Od stacji do posesji Zudziłowo było może 2 kilometry, może więcej. Szłam powoli drogą i zastanawiałam się, jak to się stało, że dałam się zamknąć sama na noc w ciemnej szopie? Czy ja szłam z tym dróżnikiem, czy on mnie tam zaniósł? Mówiąc szczerze nie wiem tego do dziś. Wczesnym rankiem, ostatkiem sił dobrnęłam do domu dziecka. Tym razem musieli mnie przyjąć, nie było innego wyjścia.

Higienistka obcięła mi włosy, obmyła się w drewnianej balii pod schodami. Kącik ten zawieszony był kocem. Wodę gorącą z kuchni przyniósł jeden ze starszych wychowanków. Potem wyniósł na patyku i spalił na podwórku moje ubranie. Na polecenie higienistki wykupił przywiezioną przeze mnie receptę. Zostałam opatrzona, dostałam po długim czasie posiłek i przydział „kazonny” - państwowy bielizny z ubraniem. Łóżko wstawiono mi na korytarz, tuż za barierką schodów na I piętrze. Nie było wtedy w tym domu izolatki. Zorganizowano ją potem z małego magazynu na dole, kiedy najmłodsza grupa rozchorowała się na dyzenterię. Łazienki nie było przez cały trzyletni okres mojego tam pobytu. Wyczerpany organizm długo nie goił wysięków na moim ciele. Wegetowałam na tym korytarzu chyba z pół roku. Kiedy przyszły pierwsze mrozy, moje łóżko przedstawiono do sali dziewcząt. Powoli wrastałam w społeczność wychowanków.

W sumie było nas tam 85 dzieci narodowości polskiej i rosyjskiej. Nie powiem żebyśmy żyli ze sobą w zupełnej zgodzie. Często dochodziło między nami do szarpaniny. One nie rozumiały dlaczego kłękamy i modlimy się, wymyślały na nas różne uszczypliwie rymowanki. My odwzajemnialiśmy się nie gorzej. Po jakimś czasie zabrano je. W połowie roku 1944 pozostawali tylko rosyjscy wychowawcy, ale i ich wkrótce wymieniono na polskich. Personelu gospodarczego nie było, te prace wykony-

waliśmy sami. Byli wśród nas wychowankowie w wieku 16-17 lat. W młodszych grupach mieli swoje rodzeństwo, żeby nie rozdzielać rodzin zatrudniono ich do różnego rodzaju prac. Dziewczęta gotowały posiłki w kuchni, prały bieliznę. Chłopcy przygotowywali drewno na opał, pilnowali koni i innego inwentarza, bo mieliśmy 15 ha ziemi. Pracy w całym obojeściu nie brakowało. Sprzątanie, palenie w piecu należało do wszystkich wychowanków. Czasem wysyłano nas jeszcze na wykopki do pobliskiego kołchozu. Dochody z naszego gospodarstwa były znikome. Często głodowaliśmy, głodowaliśmy okrutnie. Brakowało przydziału chleba. Dostawaliśmy wtedy po małym placuszku upieczonym na płycie z razowej gorzkiej mąki. Gorycz pochodziła od piołunu nagminnego chwastu na Syberii. Do popicia czarna nie osłodzona kawa zbożowa. Ledwo się to przełknęło znów odzywał się głód, który nie pozwalał zająć myśli niczym innym. Plackowe dni z przerwami trwały całe miesiące.

Czasem kradliśmy z kołchozowego pola kapustę i ziemniaki. Kierownik Fiodorow Nikołaj wiedział o tym. Dawał jakby ciche przyzwolenie. Nigdy za kradzież jedzenia nikogo nie ukarał. Mielśmy dla niego wiele uznania. Wyrobiliśmy sobie opinię, że był na froncie (chodził w wojskowym szynelu, nie miał prawej dłoni) więc przeszedł nie jedno i wie co to głód. Nasz obiad składał się zawsze z jednej rzadziutkiej zupki. Tuszcz mieliśmy dopiero z darów amerykańskich UNRA, pod koniec 1944 roku.

Nasze budynki były bardzo prymitywne, nie miały sanitarnych urządzeń. Kąpiel załatwiali nam kierownictwo w Domu Inwalidów Wojennych (okaleczeni żołnierze z frontu). Na trzy lata kąpałmy się może ze cztery razy. Czasem korzystaliśmy z bardzo małej „bani” rodziny mieszkającej w naszym sąsiedztwie. Odległa była od naszego budynku może ze 100 m. Zimą w trzaskający mróz biegliśmy tam w płaszczach narzuconych na gołe ciało i w butach na boscie nogi. Pomieszczenie było skromne,

nie było miejsca na przebieranie się, nadto ściany okopcone jak w kominie. W rogu nad paleniskiem stos rozżarzonych kamieni. Polane wodą tworzyły kłęby gorącej pary. Mycie trzeba było wykonać szybko, bo ciepła musiało starczyć dla całej grupy, a wchodziliśmy tylko po kilka osób. Z reguły brakowało mydła nawet szarego, czasem dostawaliśmy je w pudełku w postaci pasty. Rozgrzani w tych samych ubraniach biegliśmy do naszego budynku. Latem myliśmy się pod prowizorycznym urządzeniem koło studni z żurawiem. O szczotczkach i paście do zębów nie było mowy. Spaliśmy w bieliźnie dziennej. Zimą na watowaną kołdrę kładliśmy płaszcz, bo było strasznie zimno, drewniane budynki nie trzymały ciepła. Rano przy rozmowie widać było parę z ust.

W pomieszczeniach mieszkalnych grawowały szczury. Walkę z nimi też prowadziliśmy sami.

Chorowaliśmy na świerzb, ropne wrzody, dyzenterię, bronchit, jaglicę oczu i inne. Głowy bez przerwy zlewano nam naftą by pozbawić wszawicy. Myliśmy się potem późnym wieczorem w kuchni. W kuchni odbywało się też pranie. Kotły, które w dzień gotowały dla nas zupę, w nocy służyły do odkażania bielizny. Nie było proszków ani mydła. Pranie odbywało się w ługu (wodny wyciąg z drewnianego popiołu).

Kierownikiem po rosyjskim Nikołaju Fiodorowie był Polak Waclaw Przelaskowski. Wiele zmienił w organizacji i funkcjonowaniu naszego dietdoma. Przede wszystkim przekazał dzieci rosyjskie do sierocińców rosyjskich. Wymienił personel rosyjski na polski. Wykorzystał czas kiedy wychodzili z więzień ci, którzy nie przyjęli rosyjskiego obywatelstwa (sankcje po wymarszu wojsk gen. Andersa). Byli to często ludzie z wyższym wykształceniem i pełni patriotyzmu. Nade wszystko ratował nas od śmierci głodowej i ostatecznego zrusyfikowania. W późniejszym czasie dowiedzieliśmy się, że Fiodorow za nadużycia został zwolniony ze skutkiem natychmiastowym i sprawę jego

oddano do prokuratora (a mieliśmy takie uznanie dla niego). Pan Przelaskowski uzupełnił naszą dokumentację. Do istniejącego spisu dołączył brakujące dane takie jak: gdzie dziecko mieszkało przed 1939 r, daty i miejsca deportacji, imiona i nazwiska rodziców. Przeprowadził na ten temat rozmowę z każdym ze starszych wychowanków. Dane te były bardzo potrzebne przy repatriacji do Polski.

Po jakimś czasie przekazał kierownictwo sierocińca Antoniemu Wiejakowi. Ten okazał się również nadzwyczaj troskliwym i zapobiegliwym opiekunem. Potrafił zdobyć produkty z darów „Care”. Zapoatrzył w żywność i ubranie na długą drogę powrotną wszystkich wychowanków i personel. Teraz dom dziecka był już całkowicie polski. Było nas 83 dzieci i 8 personelu. Wszyscy w 1946 roku uzyskali prawo wyjazdu do ojczyzny. Dzięki obu tym kierownikom wielu z nas utrzymało się przy życiu. Na „niehumanitarnej ziemi” zastępowali nam i rodziców i rodzinny kraj. Helena i Antoni Wiejak już nie żyją. Zmarli tu w Polsce. Do końca utrzymywali z nami bardzo bliskie kontakty. W prywatnym mieszkaniu w Końskowoli zorganizowali dla wychowanków z Zudziłowa zjazd.

Pan doc. Waclaw Przelaskowski ma obecnie 90 lat, mieszka w Warszawie. Wielu wychowankom pomagał urządzić się tu w kraju, już w życiu dorosłym. Pamiętamy o nim i my. Przy każdym grupowym spotkaniu obojętnie w jakiej części Polski piszemy do niego zbiorowy list.

W roku 1944 byliśmy jeszcze na Syberii. W tym czasie przybyła do naszego domu dziecka prosto z więzienia (nie przyjęła rosyjskiego obywatelstwa) pani Z. Smodlibowska. Posiadała wyższe wykształcenie matematyczne. Starsze grupy przeorganizowała, podzieliła na oddziały. Uczyla nas w języku polskim wszystkich przedmiotów. Zajęcia zwykle odbywały się po południu, bo rano chodziliśmy do szkoły rosyjskiej. W chwili wyjazdu do Polski w 1946 r miałam ukończoną klasę czwartą.

Moją wychowawczynią była pani Helena Kuczyńska. Wieczorami uczyła nas różnych robótek ręcznych. Poznałam wtedy sztukę robienia na drutach i szydełkiem. Słuchałyśmy przy tym jej opowiadań o Polsce. Wychowawczynią najmłodszej grupy była pani Jadwiga Lohman. Jej podopiecznym był mój młodszy braciszek Eugeniusz. Wychowawcą starszego Ryszarda był Nazary Grec. Otrzymywaliśmy listy od ojca z frontu na adres: Altajski Kraj, Barnaulskij Rajon, Biełojarskoje Pocztowoje Oddzielenie, sieło Zudziłowo, Polskij Diet Dom.

Wiść o zakończeniu wojny dotarła do nas późno. Nie mieliśmy radia ani gazet. Jedynym środkiem informacji byli dla nas wychowawcy. Trwały ostatnie przygotowania na wyjazd do Polski. Szczępiono nas przeciw durowi brzuszemu i ospie. Władze rosyjskie badały pochodzenie każdego z nas. Biada jeżeli czyjeś nazwisko brzmiało z rosyjska. Wyjazd ciągle się odwlekał. Władze rosyjskie tłumaczyły się, że nie mają osobowych wagonów. Najstarsi wychowankowie pojechali z petycją do odpowiednich urzędów w Barnaulu. Okupowali wielokrotnie pomieszczenia i korytarze dzień i noc. Najbardziej kłopotliwą sprawę miało Poselstwo Polskie. Wreszcie po którymś razie, na początku czerwca 1946 r. otrzymaliśmy trzy towarowe wagony. Byliśmy już spakowani. Nasz kierownik Antoni Wiejak miał już zamówiony duży ciężarowy wóz. Kursował załadowany przez całą noc od Zudziłowa do stacji w Biełojarsku. Rano byliśmy już w wagonach. Zaraz też ruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy przez Ural, Brześć, Warszawę do Gostynina. Podróż trwała prawie miesiąc, na miejsce przybyliśmy 4 lipca 1946 r. Wywaliliśmy na rampę wszystkie nasze toboły. Nie przeżywam zbyt wielkiej radości. Na jednej z rozłożonych na ziemi kołder leży z wysoką gorączką mój młodszy brat. Obok niego pięcioro innych z najmłodszej grupy. W Zudziłowie męczyła ich dyzenteria, trudy dalekiej podróży przekraczały ich wątłe organizmy. W chwilę potem zabrało ich pogotowie.

Genka odnalazłam w szpitaliku jednego z pawilonów gdzie lokowano nas. Był tu kiedyś ośrodek dla nerwowo chorych. Niemcy wymordowali dużą część pensjonariuszy, niektóre kilkupiętrowe bloki stały puste. Przydały się teraz nam. Napływały dzieci z repatriacji był jednak tak duży, że trzeba było dobudować naprędce jeszcze kilka baraków. Nam wypadło mieszkać już w tych zastępczych warunkach. Nic to, była pełnia lata, było ciepło i byliśmy w Polsce.

Z punktu rozdzielczego zabierały dzieci rodziny dalszych i bliższych krewnych. Te po których nie zgłosił się nikt rozdzielano na poszczególne domy dziecka. Po naszą trójkę nie zgłosił się nikt. Decyzją konsylium lekarzy Genka wysłano na leczenie w Rabce. Starszego brata i mnie przydzielono do Domu Dziecka nr 2 w Kwidzynie. Pani Ludmiła Kamińska przywiozła tu z Gostynina około 100 dzieci. W tej liczbie 32 wychowanków z Zudziłowa. Urządzaliśmy się w ogromnym trzypiętrowym budynku, w którym przed wojną mieścił się sąd, w czasie wojny sanatorium, szpital dla żołnierzy rosyjskich. Nowy zespół wychowanków, nowi wychowawcy i całe otoczenie. Po roku pobytu w Rabce Ryszard przywiozł tu naszego młodszego braciszka.

W Domu Dziecka w Zudziłowie mocno i naiwnie wierzyliśmy, że złe kule ominą ojca na froncie, spotkamy się w Polsce i jakoś da się odbudować życie rodzinne. Niestety na dzień przed zakończeniem działań wojennych 7 maja 1945 roku tatuś został ciężko ranny. Przestrzelony lewy płąt płuca. Z Czerwonego Krzyża otrzymaliśmy wiadomość, że ojciec zmarł w szpitalu polowym. Z tą wersją przeżyliśmy długie lata. Dopiero w roku 1992 Centralne Archiwum Wojskowe przysłało mi historię choroby ojca z której wynika niezbitcie, iż ojciec przeżył. Przebywał w szpitalu polowym nr 5380 dwadzieścia jeden dni. Został wypisany jako zdrowy 6 czerwca 1945 r. Czerwony Krzyż nie potwierdził swojej pierwotnej wersji. Prosiłam Centralne Archiwum Wojskowe by poinformowali mnie



Grupa najmłodszych dzieci z Domu Dziecka w Kwidzynie

o dalszych losach ojca. Otrzymałam odpowiedź, że w aktach jednostki nie ma żadnej adnotacji na ten temat.

W Domu Dziecka w Kwidzynie wychowawcy upominali nas ciągle żeby nie pisać w życiorysach zostaliśmy deportowani tylko że zostaliśmy ewakuowani. Ostrzegali nas również żeby nie przyznawać się jeżeli ojciec któregoś z nas był legionistą. Baliśmy się i oczywiście stosowaliśmy się do zaleceń. Tak nam to weszło w krew, że nawet w wieku dorosłym nie opowiadaliśmy nikomu o Syberii.

W Kwidzynie ukończyłam w przyspieszonym tempie szkołę podstawową, a potem liceum pedagogiczne. W 1951 r opuściłam mury domu dziecka. Rozpoczęłam nowy etap, teraz już życia dorosłego. W 1952 roku wyszłam za mąż, przenieśliśmy się do Torunia. Zaocznie ukończyłam studium nauczycielskie we Włocławku – kierunek filologia rosyjska. Zaocznie ukończyłam też

Uniwersytet im. M. Kopernika w Toruniu - Wydział Humanistyczny. W zakresie filologii polskiej zdobyłam tytuł magistra.

Ryszard po ukończeniu liceum ogólnokształcącego w Kwidzynie kontynuował naukę w Oficerskiej Szkole Łączności w Zegrzu. Ukończył ją w 1951 r a w 1956 ukończył Wojskową Akademię Techniczną w Warszawie.

Eugeniusz rozpoczął w Kwidzynie naukę w klasie pierwszej szkoły podstawowej. Ukończył liceum ekonomiczne w Bydgoszczy i zaocznie Wydział Prawa i Administracji na Uniwersytecie im. M. Kopernika w Toruniu.

Lata Syberii i domów dziecka pozostały nam w pamięci jak zły sen. Pisane nam było życie. Niestety najkrócej cieszył się nim Ryszard. Zmarł w 1988 roku. Lekarze podejrzewali inną chorobę, ale bezpośrednią przyczyną było zapalenie płuc. Słabość tą wyniósł z Syberii. W Zudziłowie długo



Spotkanie po latach. Rok 1977. Piąta od lewej autorka

chorował na bronchit. Eugeniusz mieszka w Bydgoszczy. Ja w zawodzie nauczycielskim przepracowałam 41 lat. Obecnie jestem na emeryturze.

Utrzymuję do dziś stałe kontakty z byłym kierownikiem, dziś doc. dr Waławem Przelaskowskim i kilku wychowankami.

Korespondujemy, wymieniamy karty świąteczne.

W ubiegłym roku 23 czerwca odbył się w Karpaczu III Ogólnopolski Zjazd Wychowanków Syberyjskich Domów Dziecka. Przyjechało 180 byłych wychowanków w tym 9-ciu z Zudziłowa.

Opisywany przez autorkę Pan Waław Przelaskowski zaszczylił nas swoją obecnością na spotkaniu opłatkowym w grudniu 1998 roku.